

Jan Zieliński: Tałas i trąby, rozpostarte

Tałas może służyć jako baldachim rozpościerany nad nowożeńcami podczas ceremonii zaślubin. Proust, jak wiadomo, w roku 1891 był drużbą Henriego Bergsona, kiedy ten żenił się z jego kuzynką, Louise Neuberger. Nie zachował się opis tej ceremonii, ale można sobie wyobrazić, że odbyła się ona tradycyjnie właśnie pod baldachimem i że młody Marcel ujrzał wówczas, pewnie po raz pierwszy w życiu, Żydów w tradycyjnych orientalnych szatach – pisze Jan Zieliński w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Proust. Czas kultury”.

Amerykański historyk Maurice Samuels w książce *Inventing the Israelite: Jewish Fiction in Nineteenth-Century France* (2010) zajął się powieściami i opowiadaniem, pisany przez autorów żydowskiego pochodzenia w dziewiętnastowiecznej Francji. Dla nas szczególnie interesujący jest drugi rozdział jego książki. Sam autor tak się na jego temat wypowiadał w wywiadzie z okazji publikacji: „Drugi rozdział książki koncentruje się wokół autora nazwiskiem Godchaux Weil, 1806-1878, który pod pseudonimem Ben-Lévi ogłosił kilkanaście opowiadań a także wiele artykułów w piśmie reformowanych Żydów, ‘*Les Archives Israélites*’, w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku. Pochodził z Alzacji, jego ojciec był zamożnym producentem porcelany i przywódcą wspólnoty Żydów paryskich. A krewnym Ben-Léviiego był bodaj najślynniejszy współczesny pisarz francuski Marcel Proust”.

Pismo „*Les Archives Israélites*”, z podtytułem „*Revue Mensuelle Historique, Biographique, Bibliographique, Littéraire*”, zostało założone w roku 1840 w Paryżu przez Samuela Cahena, tłumacza Biblii hebrajskiej na francuski. W pierwszym roczniku pisma znaleźć można biografię polskiego uczonego i wynalazcy Abrahama Sterna (pradziada pisarza Antoniego Słonimskiego) i nowelę Ben-Lévięgo *Le Cimetière de Versailles*, opowiadającą w plastyczny sposób, jak w roku 1788, rok przed rewolucją, Ludwik XVI, natknąwszy się na malowniczą grupę Żydów w orientalnych strojach, którzy maszerowali z Wersalu do Paryża, by pochować swego zmarłego rodaka na cmentarzu żydowskim – nakazał oddać wersalskim Żydom jakiś kawałek ziemi na cmentarz – w razie potrzeby choćby fragment parku królewskiego.

Pismo „Les Archives Israélites” zostało założone w roku 1840 w Paryżu przez Samuela Cahena, tłumacza Biblii hebrajskiej na francuski

O tekstach Ben-Lévięgo Maurice Samuels mówi w kontekście dziejów emancypacji Żydów francuskich w XIX wieku: „Proza Ben-Lévięgo toczy się

wokół samej natury tego przejścia, podkreślając korzyści płynące z emancypacji i napominając czytelników, by pozostali wierni świeżo zmodernizowanemu judaizmowi. Pisane w nowym, opisowym stylu Balzaka, którego ówczesni krytycy literaccy obdarzali etykietką ‘realisty’, opowiadania Ben-Lévięgo odróżniają się od pozostałych tekstów tego czasopisma, które schlebiały raczej etnicznej dumie wspólnoty, podsuwając czytelnikom przed oczy to, co zostawiali za sobą w trakcie społecznego awansu”.

Spośród tekstów Ben-Lévięgo w „Archives israélites de France” dla nas szczególnie istotny jest jeden, opublikowany w roczniku II (1841), a mianowicie opowiadanie, zatytułowane *Grandeur et décadence d’un taleth polonais*. Tytuł, nawiązujący do słynnego dzieła Edwarda Gibbona, które z kolei nawiązywało do wcześniejszej pracy Monteskiusza *Considerations sur les causes de la grandeur des Romains et de leur décadence* (1737), przydaje wielkości tej przypowieści o degradacji kawałka materiału, degradacji, która zdaje się być ceną, płaconą za emancypację.

*

Godchaux Weil

Wielkość i upadek polskiego tałesu

(przełożył Jan Zieliński)

Jacob, zwany w dzielnicy ojcem Jacobem, mieszkał przed sześćdziesięcioma laty przy rue Mortellerie, gdzie handlował z dobrym skutkiem starymi ubraniami, starym żelastwem, a jak się nadarzyła sposobność – także starymi zegarami. Ojciec Jacob był kochany i szanowany, a jego pobożność słynęła w całej okolicy. Z okazji swego ślubu sprowadził wielkim nakładem kosztów z Polski wspaniały tałes z białej i delikatnej wełny, ożywionej lazurowymi paskami, ozdobiony złożonym oblamowaniem z fantastycznych koronek i lekkimi cyces ze splecionego jedwabiu oraz otoczony szeroką wstęgą białej satyny. W dniu zaślubin rabin rozpostarł ten nowiutki tałes nad głowami ojca Jacoba i jego wybranki i obsypał go szczerze ziarnami zboża, tym tajemniczym symbolem płodności.

Począwszy od tego dnia piękny wełniany tałas stał się dla ojca Jacoba drogocennym talizmanem, świętą relikwią, meblem rodzinnym, którego nie pozbyłby się za żadną cenę, albowiem dla religijnych serc naszych ojców wszystko miało uświęcone znaczenie, a naiwne dusze naszych matek przywiązywały wielką wagę do ceremonii kultu, które uwielbiały.

Tałas przede wszystkim odgrywał wielką rolę w życiu religijnym tamtego czasu: w trakcie wielkich świąt był nieodzownym atrybutem modlitwy; czyniono w nim honory obcemu, zaproszonemu do czytania Tory; służył za baldachim podczas ceremonii zaślubin; okrywał kołyskę niemowlęcia które po raz pierwszy nazywano jego własnym imieniem; ojcowie rozciągali go niczym egidę nad synami, kiedy im błogosławili w świątyni, a jeśli należał do człowieka mądrego i pobożnego, umieszczano go na trumnie zmarłego, niczym żagiel pomiędzy tym światem a wiecznością...

*Począwszy od tego dnia
piękny wełniany tałas stał się
dla ojca Jacoba drogocennym
talizmanem, świętą relikwią*

Kiedy umarł Jacob,
ten piękny tałas
odziedziczył jego syn
Jacobi. Ów syn, który
z żołnierza został
dostawcą armii
cesarskich,

wzbogacił się niczego nie dostarczając i zmienił nazwisko na modłę włoską, trochę po to by mu nadać korsykańskie brzmienie a trochę, by zatrzeć zbyt biblijny trop.

Jacobi był człowiekiem grzecznym, obrotnym w interesach, otwartym i wygodnym, jak to dawni wojskowi; był także o wiele mniej religijny od swego ojca – zepsuło go życie obozowe i często nie przestrzegał zasad, jakie wyniósł był z domu ojcowskiego. Kiedy jednak nadchodziło wielkie święto religijne, Jacobi sumiennie brał w nim udział: rozdawał jałmużnę ubogim; szedł na nabożeństwo do świątyni, ubierał się odświętnie a jego mieszkanie (przy rue Montmartre) nabierało radosnego, świątecznego wyglądu.

Przede wszystkim zaś Jacobi zachował głęboki szacunek dla pamięci swego ojca i tałas, który po nim odziedziczył, był dlań drogi – kiedy go wyciągał na poranną modlitwę w Kippur, owijał się weń z dumą, a kiedy nosił go w rocznicę śmierci ojca czy matki, opuszczał go z rozmachem na twarz, gdy tylko poczuł, że z oczu zaczynają mu płynąć wielkie łzy.

Nawet na wojnie Jacobi nie rozstawał się ze swym świętym tałasem, który, zwinięty w plecaku, odbył wraz z nim rozliczne kampanie, on zaś w swej synowskiej przesądności uważał, że tałasowi zawdzięcza szczęście w bitwach.

Teraz umarł Jacobi, a jego syn, piękny młodzian lat dwudziestu, odziedziczył jego fortunę wraz z tałasem. Ów syn każe się nazywać Jacoubé żeby całkowicie zatrzeć izraelickie pochodzenie; ma on procent od marży w kantonie wymiany; mieszka przy Chaussée-d'Antin, chodzi w butach na glanc, ma długie włosy, brodę przystrzyżoną jak alejki w Trianon i lorgnon, które trzyma się samo między brwią a okiem, słowem – jest lampartem.

Nie ma potrzeby dodawać, że Jacoubé jest Żydem tylko z urodzenia, że sam nie ma pojęcia o religii izraelskiej i że spiekłby raka, gdyby go ktoś ujrzał w synagodze. Gdy go ktoś pyta o ojca Jacoba, odpiera z przekąsem: „A któż to taki?” A piękny wełniany tałas, sprowadzony z Polski przed sześćdziesięciu laty, co się z nim stało? Czy wiadomo, co ten połyskliwy modniś zrobił z owym świętym żaglem tak drogocennym dla ojca Jacoba i tak drogim dla starego Jacobiego?

Biada! Wczoraj na pierwszym balu w Operze, podczas piekielnej galopady przy ryku orkiestry Musarda zwróciłem uwagę na szaleńczy tan w wykonaniu pięknego chłopca w stroju pocztyliona z Longjumeau i pełnej wdzięku gryzетки przebranej za tragarza: zastanowiła mnie bluza rozbrykanej tancerki, była bowiem zrobiona z delikatnej wełny zabarwionej lazurowymi pasami, ozdobionej fantastycznymi koronkami i złotymi frędzlami – wyglądała osobliwie, staro, a zarazem miała w sobie coś nieokreślonego, co właśnie swym dziwactwem przyciągało oko.

Biada! Biada! Pięknym pocztylionem z Longjumeau był niewdzięczny Jacoubé syn Jacobiego a szatka pięknej gryzетки została zrobiona z pięknego tałesu, sprowadzonego przed sześćdziesięcioma laty z Polski na ślub ojca Jacoba!

Biada! Biada! Biada! Czy w tej aż nazbyt prawdziwej opowieści nie kryje się cała epepeja religijna?...

W powieści Prousta echa zainteresowania egzotyczną tkaniną, jak ów tałas, opisany przez Godchaux Weila znaleźć można przede wszystkim we fragmentach, przywołujących tkaniny, projektowane przez malarza Fortuny. Mariano Fortuny y Madrazo, bodaj jedyny żyjący malarz, obecny na kartach *W poszukiwaniu straconego czasu*, pochodził z międzynarodowej rodziny artystów pędzla, głównie hiszpańskich, której założycielem był polski malarz rokokowy Tadeusz Kuntze (Konicz), znany w osiemnastowiecznych Włoszech jako Taddeo Polacco. O splotach między orientalną tkaniną a powieścią Prousta pięknie pisze Gérard Macé w książeczce *Le manteau de Fortuny*, wznowionej parę lat temu wraz z esejem Jean-Pierre'a Richarda *Manteaux et tombeaux*, który z tymi splotami połączył wątek funeralny.

Sam Macé zamyka swój tekst sugestywnym obrazem łoża, w którym Proust spędził ostatnie lata życia, porównanego do grobowca, wokół którego snują się cienie bohaterów jego świata powieściowego. I przywołuje słynny pasaż *W poszukiwaniu straconego czasu*, opisujący ostatnie chwile i śmierć pisarza Bergotte'a. Okres, kiedy „Bergotte nie wychodził już z domu, kiedy zaś wstawał, to zakutany w szale, w pledy” i kiedy „pokazując koce i kołdry” przywoływał maksymę Anaksagorasa, że życie jest podróżą. Te pledy i koce są jak tałas, którym owija się zimne ciało pobożnego zmarłego, jak ów żagiel „pomiędzy tym światem a wiecznością”.

Ale tałas może też służyć jako baldachim rozpościerany nad nowożeńcami podczas ceremonii zaślubin. Proust, jak wiadomo, w roku 1891 był drużbą Henriego Bergsona, kiedy ten żenił się z jego kuzynką, Louise Neuberger. Nie zachował się, o ile mi wiadomo, opis tej

W powieści Prousta echa zainteresowania egzotyczną tkaniną, jak ów tałas, opisany przez Godchaux Weila znaleźć można przede wszystkim we fragmentach, przywołujących tkaniny, projektowane przez malarza Fortuny

ceremonii, ale można sobie wyobrazić, że odbyła się ona tradycyjnie właśnie pod baldachimem i że młody Marcel ujrzał wówczas, pewnie po raz pierwszy w życiu, Żydów w tradycyjnych orientalnych szatach, przybyłych

na ten ślub z kraju, skąd pochodził przyszły filozof (jego ojciec, Michał Bergson bądź Bergsohn urodził się w roku 1820 w Warszawie i ma obszerne hasło w *Encyklopedii muzycznej PWN* jako polski pianista i kompozytor). Na uroczystości tej Proust był tylko z matką, jego ojciec bawił tego dnia w Wenecji, gdzie, rzecz znamienita, reprezentował Francję na europejskiej konferencji sanitarnej, zorganizowanej w celu skuteczniejszego chronienia Europy przed zagrażającą ze strony Orientu zarazą.

Śmierć wielkiego pisarza Bergotte'a przedstawiona jest w podwójnej perspektywie, której wspólny mianownik stanowi nieśmiertelność. Najpierw, może pod wpływem wzmianki o Anaksagorasie, który był też astronomem, mamy obraz ziemi przyszłości, gdzie niknie ciepło i życie, ziemi bez ludzi, gdzie są jeszcze niektóre gatunki zwierząt, ale sława Bergotte'a nie przetrwa tak długo, bo przecież „[o]statnie zwierzęta nie będą go czytały”... Potem, na wystawie malarstwa holenderskiego, na którą chory pisarz poszedł, żeby sprawdzić, czy rację ma krytyk, wysławiający na obrazie Ver Meera „kawałek żółtej ściany”,

wymalowany tak wspaniale, że przypomina „szacowne dzieło sztuki chińskiej, samowystarczalne w swojej piękności”... Trafiony apopleksją, umiera na wystawie (dziwna koincydencja: autor tej sceny śmierci wyobrażonej umrze 18 listopada 1922 roku, pięć tygodni później na wystawie w „Zachęcie” śmierć poniesie, zamordowany przez malarza, prezydent Gabriel Narutowicz). Narrator zastanawia się, czy śmierć Bergotte’a to śmierć „na zawsze” i właśnie w sztuce znajduje obietnicę niejakej nieśmiertelności, a przynajmniej asumpt do zdania: „myśl, że Bergotte nie umarł na zawsze, nie jest pozbawiona prawdopodobieństwa”.

*Proust w roku 1891 był družbą
Henriego Bergsona, kiedy ten
zenił się z jego kuzynką,
Louise Neuberger. Młody
Marcel ujrzał wówczas,
pewnie po raz pierwszy w
życiu, Żydów w tradycyjnych
orientalnych szatach*

I wreszcie koda tej sceny: „Pogrzebano go, ale przez całą noc żałobną w oświetlonych witrynach książki jego, ułożone po trzy, czuwały jak anioły z rozpostartymi skrzydłami i zdawały się symbolem zmartwychwstania

tego, którego już nie było”. Użyty w oryginale w odniesieniu do skrzydeł aniołów imiesłów ‘époyés’ pochodzi od czasownika, który odnosi się do czynności rozpościerania – np. skrzydeł albo materiału. Rzadki, w formie imiesłowu ma zastosowanie głównie w heraldyce, gdzie odnosi się do skrzydeł albo do zwierząt w rodzaju chimer, przedstawionych z rozpostartymi skrzydłami. Często bywa też stosowany w odniesieniu do dwugłowego orła, co jednak jest błędne i

wprowadza terminologiczne zamieszanie, ponieważ orzeł może być *éployé*, nie mając dwóch głów, a orzeł dwugłowy może być przedstawiony w stanie spoczynku i wówczas nie jest *éployé*.

W siedmiu tomach powieści Proust użył tego imiesłowu tylko dwa razy: w opisie żałoby księgarzy po śmierci Bergotte'a i w rozważaniach Marcela na temat drogich prezentów, jakie miała (głównie od niego) Albertyna: „Miała też rzeczy nie pochodzące ode mnie, na przykład piękny złoty pierścionek. Podziwiałem na nim rozpostarte skrzydła orła”.

Proust, jak wiadomo, chętnie obdarowywał przyjaciół i znajomych drogimi i wyszukаныmi prezentami. Zajmiemy się tutaj jednym przypadkiem, a mianowicie osobą księcia Leona Konstantego Radziwiłła, zwanego poufale Loche (Losz), czyli Pomrów. W roku 1905 książę za namową rodziców zgodził się ożenić (ślub związany był z obietnicą wysokiej renty). Proust z okazji ślubu sprawił przyjacielowi mały alabastrowy krucyfiks z XII wieku. Ów cenny drobiazg zakupiony został najprawdopodobniej u znanego antykwariusza paryskiego Hopilliarta – taką hipotezę wysuwa Pyra Wyse w artykule *Un nouveau mystère des gravures anglaises: Marcel Proust chez Hopillart* (2008), z którego można ponadto wyczytać, że pisarz kupił u tego antykwariusza portret Rozalii Rzewuskiej z domu Lubomirskiej, ciotki pani Hańskiej. Na krucyfiksie pisarz kazał wyryć dewizę Johna Ruskina „Będziesz szczęśliwy pod jednym warunkiem”.

„Le Figaro” z 26 czerwca 1905 roku daje obszerną listę ofiarodawców i prezentów ślubnych, które były wystawione podczas przyjęcia, wydanego przez hrabinę de Gramont z okazji podpisania intercyzy

przed ślubem jej córki z księciem Radziwiłłem. Lista obejmuje 42 darczyńców, przeważnie bardzo dobrze urodzonych lub sławnych – dla Prousta zabrakło na niej miejsca. Wśród prezentów przeważa wyszukana biżuteria, ale są też przedmioty nowoczesne, jak „lampa elektryczna” od księżnej de Luynes z domu La Rochefoucauld czy „podróżny zegar wahadłowy” (*pendule de voyage*), jaki ofiarowali księżna i książę Henry de Polignac. Przeważają na liście ozdobne wachlarze, często wysadzone brylantami (jest ich bodaj osiem). Rodzice pana młodego ofiarowali pierścionek z wielkim szafirem, diamentowy wisiołek i... samochód (taki prezent musiał wzbudzić szczególne zainteresowanie Prousta, który już dwa lata wcześniej, w liście z 15 kwietnia 1903 roku do Antoine’a de Bibesco pisał, że dowiadywał się, czy automobil Radziwiłłów jest na sprzedaż – nie był).

W rewanzu Proust otrzymał od księcia Leona Radziwiłła szpilkę do krawata z wyrytym herbem jego rodu (trąby). Pisze o tym po latach, w roku 1918, w liście do angielskiego dyplomaty Waltera Berry’ego: „Vigny powiada, że dźwięk trąb myśliwskich jest smutny w głębi lasu, ale nawet w głębi mego łoża trąba Radziwiłłów (to jest ich herb) na szpilce do krawata, którą Pomrów Radziwiłł podarował mi żeniąc się – wydaje mi się jeszcze smutniejsza. Mówi się, że spinki do krawata to prezenty, które przynoszą nieszczęście. Chętnie w to wierzę, ponieważ Pomrów Radziwiłł porzucił żonę osiem dni po ślubie [...]”.

Skandal, jaki wywołała ucieczka księcia Leona nieomal z kobierca ślubnego był tylko początkiem dalszych skandali. Rodzice przestali finansować syna, na co on odpowiedział założeniem w Paryżu sieci pralni, używających kolorów Radziwiłłów i ich herbu. „Po niejakiem czasie zwracały ogólną uwagę pozakładane w najarystokratyczniejszych *quartiers* Paryża wytwornie i elegancko

urządzone *pralnie* dewanturach żółto-niebieskich, ozdobionych herbowymi trąbami *Radziwiłłów*”, czytamy we Wspomnieniach Mariana Rosco Bogdanowicza. Rodzice ustąpili.

Wróćmy jednak do ślubu, ponieważ dla Prousta był on źródłem udręki. Pisarz mianowicie nie otrzymał nań zaproszenia. Matka była zdania, że powinien odesłać Radziwiłłowi szpilkę z herbem, on się wahał; sprawa wypełnia kilka jego listów do matki z czerwca 1905 roku. W końcu jednak, jak wynika z listu do angielskiego dyplomaty, szpilkę zachował, jak zadrę, do końca życia.

Z czasem sprawy się ułożyły i na przykład w roku 1907 Proust koresponduje z Leonem Radziwiłłem na temat artykułu o sprawie polskiej, jaki ten ostatni opublikował w dzienniku „Gil Blas” i polemiki, jaką napisał ekonomista i działacz Ligi Praw Człowieka Stanisław Skarżyński.

Książki Bergotte’a, które, ułożone w witrynach po trzy, czuwają „jak anioły z rozpostartymi skrzydłami” nad jego nieśmiertelnością są niczym trzy trąby ze starodawnego herbu rodu Radziwiłłów (herbu opatrzonego dewizą „Bóg nam radzi”), wzywające na Sąd Ostateczny. Takie parentele przydają dziełu nieco heraldycznego blasku i dają mu swoistą pieczęć nieomylności.

Jan Zieliński

Prof. Jan Zieliński jest historykiem literatury, krytykiem, tłumaczem i dyplomatą. Jego zainteresowania naukowe obejmują między innymi komparatystykę, związki literatury ze sztuką, pogranicza literatury, biografistykę, romantyzm, modernizm, literaturę XX wieku i emigracyjną. Jest członkiem *Rilke Gesellschaft*.

*Ilustracja: Portret księcia Leona Radziwiłła („Loche”
autorstwa Bernarda Boutet de Monvela (1910).*

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.